

fragment

Gdy się obudził, była dopiero druga w nocy. Mocno przycisnął głowę do jaśka, chcąc w ten sposób zatrzymać resztki snu. Jednak już po chwili wiedział, że i tym razem nic z tego nie będzie. Obrócił się w kierunku żony. Na szczęście leżała spokojnie przykryta kołdrą i tylko od czasu do czasu, lekko uśmiechnięta, mamrotała coś pod nosem. Nie mając nic lepszego do roboty, zaczął dumać nad tym, co też ciekawego może jej się śnić. Nie mogąc jednak niczego wykombinować, wnet porzucił te dywagacje i zaczął rozmyślać o czymś zupełnie innym. Przed oczyma stanęły mu nie tak odległe czasy, kiedy to, będąc jeszcze kawalerem, pracował w teatrze muzycznym jako inspicjent.

Do jego obowiązków należało właściwie wszystko. Będąc prawą ręką reżysera, wcielał w życie to, co tamten wymyślił. Musiał nie tylko nadążać za jego wyobraźnią, ale również ostatecznie zdecydować czy jego pomysły są wykonalne. Często bywał zmuszony użyć całej sztuki perswazji, by nieco poskromić twórcze zapędy. Przecież i na nim spoczywała odpowiedzialność za spektakl.

Mimo oporów reżysera, to on czasami decydował gdzie i kiedy na scenie pojawi się aktor tak aby, kurtyna nie spadła mu na głowę czy zapadnia nie pochłonęła na wieki.

Oczywiście partyturę musiał mieć opanowaną na wyrywki, bo to on koordynował prace akustyków, wywołujących grzmoty oraz elektryków wykrzesujących błyskawice.

Od niego zależał moment, gdy rozbrzmiewał dzwonek sygnalizujący początek przedstawienia. On decydował, kiedy na widowni zapalą się światła i opadnie kurtyna, kończąc spektakl. Gdy dziś wspomina tamte dni, nie może pojąć jak z tym wszystkim dawał sobie radę.

Jak został inspicjentem? Całkiem przypadkowo. Kiedyś wdał się w kłótnię z akustykiem, który notorycznie, podczas każdej próby, spóźniał się z efektami. Pamięta jak wściekł się, gdy kolejny raz kurtyna wędrowała w górę w ciszy. Według scenariusza pierwszy miał pojawić się dźwięk morza, aby widz odniósł wrażenie, że znajduje się w kurorcie i nad ranem rozsuwa kotarę, by ujrzeć plażę i morskie fale. On zaś, z pewnym opóźnieniem, miał powoli, zmieniając natężenie światła, powodować u widza odczucie „wstającego świtu”. W końcu szlag go trafił, gdy kolejny raz po świetle wstawało morze.

Wybiegł wtedy ze swojej kanciapy i przy wszystkich urządził operatorom karczemną awanturę.

Zapewne to wówczas zwrócił na siebie uwagę inspicjenta, który od tego czasu częściej wołał go do siebie. Z początku uzgadniali tylko, bardziej szczegółowo niż zwykle, sposób oświetlenia niektórych scen, lecz powoli inspicjent zaczął powierzać mu różne drobne sprawy. A to komuś trzeba było podrzucić partyturę, albo pogonić, by raczył wyjść z garderoby. Innym razem przypilnować mechaników, by we właściwym czasie zmienili dekorację. Powoli zadań przybywało tak, że w końcu przy konsoli operatorskiej zastąpił go jakiś pryszczaty chłopak, a on stał się pomocnikiem Starego.

Stary, bo tak zwano Józka, miał swoje lata i do emerytury pozostał mu już tylko rok. Potrzebował, więc kogoś w miarę bystrego, który zastąpiłby go w czynnościach wymagających wysiłku. Marek powoli, z dnia na dzień, zdobywał jego zaufanie. Spora różnica wieku powodował, że przekleństwa rzucane w stronę praktykanta, zbytnio nie bolały. Traktował je jako rodzaj frycowego nieodzownego w tej fazie nauki. Z drugiej jednak strony starał się robić wszystko sumiennie, z dużym zaangażowaniem, tak, że nawet Józef musiał to w końcu docenić.

Czasami zdarzały się chwile, kiedy Markowi wydawało się, że nie jest w teatrze, lecz na okręcie i zamiast

na wysoko umieszczonych platformach, stoi na relingach i uwalnia niesforne liny. W jednej chwili kurtyny przeistaczały się w olbrzymie żagle, falujące pod wpływem wiatru, dobywającego się z wentylatorów, ustawionych w kulisach. Umieszczony wysoko wielki reflektor był w istocie słońcem, które swymi promieniami ogrzewało jego rozpalone policzki. Wisiało nad widownią, rozlewającą się niczym morze, sięgające horyzontu czyli ... ściany teatru.

Jeżeli autor miał takie życzenie, czasami trafiał się sztorm z błyskawicami rozświetlającymi ciemne niebo. Wtedy patrzył z góry na sceniczne deski niczym na pokład statku, na którym inspicjent-bosman wydawał komendy. Aktorzy, w strojach z epoki, wydawali się być pasażerami wielkiego galeonu, zmierzającego do Ameryki. Właśnie przed chwilą wybiegli na pokład, by teraz z przerażeniem patrzeć na wielkie fale, targające ich małym, wątłym okrętem.

Takie momenty były jednak rzadkością. Zwykle stał twardo na ziemi i bystro obserwował pracę inspicjenta, by w przyszłości, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, zastąpić Starego.

Uwadze Józefa nie uszła doskonała pamięć adepta. Patrzył zdumiony z jaką łatwością zapamiętuje poszczególne elementy scenografii, ich położenie, wzajemne zależności. Ze zdziwieniem obserwował jak młody bezbłędnie domyśla się jakiemu śpiewakowi i z jakim wyprzedzeniem przypomnieć o wyjściu na scenę.

Marek miał szczególny dar oceniania personelu. Wiedział, na których osobach można polegać, a którym patrzeć na ręce. Potrafił umiejętnie rozdzielać prace, najtrudniejsze zadania powierzając osobom odpowiedzialnym, mającym duże doświadczenie.

Chłopak tak się w to zaangażował, że już po dwóch miesiącach Józef doszedł do wniosku iż zdarzają się chwile kiedy po prostu nie ma nic do roboty. Jeszcze kilka lat temu odebrałby to jako zagrożenie i dość szybko pozbyłby się chłopaka. W końcu, stary wyjadacz, miał ku temu wiele okazji, lecz teraz, będąc już jedną nogą na emeryturze, odpuścił.

W najbliższej okolicy nie było innego kandydata, a ten z rozwianymi, blond włosami, rzutki, dynamiczny coraz bardziej mu się podobał. Z czasem zaczął przyłapywać się na tym, że zaczyna traktować go niemal jak syna. W jego starym kawalerskim sercu na moment ożyły spóźnione, ojcowskie uczucia. Musiał przyznać, że nie spodziewał się już w życiu niczego szczególnie ekscytującego, a tu proszę - takie fanaberie.

Z początku trochę go to zaskoczyło. Z natury szorstki, brutalny, tym razem czuł się cokolwiek zakłopotany. Jakiś czas dumał nad tym czy, nie daj Boże, wynikną z tego jakieś kłopoty, lecz w końcu wziął smarkacza pod swoją kuratelę.

*

Czas mijał niepostrzeżenie aż w końcu nadeszła chwila, gdy Józef musiał odejść. Z tej okazji dyrektor zorganizował przyjęcie. Przybyli wszyscy, by pożegnać kolegę.

Zaproszeni jak zwykle stawiali zakłady, o to jak dzisiaj Stary się upije. Czy na wesoło? Wtedy był duszą towarzystwa. Czy może na smutno? Wówczas, dla odmiany, siedział markotny i pijąc bez umiaru, szybko odpływał w niebyt.

Jednak najbardziej pożądany wśród gawiedzi, był stan trzeci, kiedy to po kilku głębszych, inspicjent zaczynał wodzić oczyma po biesiadnikach.

Nie interesował się pijaczkami, którzy z nosem w sałatce konali ze zmęczenia, nie zwracał uwagi na malkontentów, roztrząsających swoje życiowe niepowodzenia. Zwykle jego uwagę przykuwała osoba najbardziej wesoła, wyraźnie dobrze się bawiąca, mająca w tej chwili posłuch wśród kolegów.

Taka persona, można by określić; non grata, wyraźnie go irytowała. Gdy on, zajęty myślami o marności tego świata, zmierzał się z arcytrudnymi zagadnieniami filozoficznymi, to ten imbecyl, nie świadomy powagi chwili, miał czelność mu w tym przeszkadzać.

Wstawał wówczas od stołu i nie zważając na nikogo, rozpychając się, depcząc, sunął niczym czołg w kierunku ofiary. Chłop o prawie dwumetrowej posturze atlety był nie do zatrzymania. Kiedy, wśród jęków i złorzeczeń, siadał naprzeciwko delikwenta, wbijał w niego przenikliwy wzrok i zaczynał marudny, pijacki monolog.

Jak sprawy toczyły się dalej, w dużej mierze zależało od reakcji rozmówcy, bo tak naprawdę nie wszystko było jeszcze do końca przesądzone. Jeżeli był na tyle rozsądny, by dla własnego bezpieczeństwa, okazać zrozumienie dla jego rozterek, to istniało duże prawdopodobieństwo, że afera rozejdzie się po kościach.

Pożądane było oczywiście, aby zgadzał się z nim w najważniejszych kwestiach, ale i tu wypadało zachować umiar. Mimo, że Józef w takich chwilach był już nieźle pijany, to nigdy do końca nie tracił jasności umysłu. Jeżeli dostrzegł choć cień nieszczerości, to nic nie mogło już wtedy odwrócić biegu wydarzeń.

Swoje, wielkie niczym bochny, dłonie zaciskał na ubraniu ofiary i bez problemu unosił delikwenta kilka centymetrów nad podłogę. Robił to tak umiejętnie, że przy okazji obracał nim przodem do wyjścia. Następnie, chwyciwszy za pasek od spodni, niczym szmacianą lalką, ciskał o drzwi. Nieszczęśnik mógł mieć tylko nadzieję, że te akurat otwierają się na zewnątrz.

Wtedy z pomieszczenia wylewał się podniecony, rozkrzyczany tumult. Na samym przodzie, mężczyźni, próbujący pomóc ofierze, uwieszeni u ramion Józefa, niczym sfora wygłodniałych psów, szarpiących dzika. Były zapaśnik, z powodu kontuzji, niedoszły reprezentant kraju, bez problemów zrzucał z siebie całą tę zgraję i dalej parł przed siebie.

Za nimi podążały rozhisteryzowane kobiety, wołające o pomstę do nieba. Dalej piszczące chórzystki, które uspakajali, nie bez powodzenia, koledzy. Wnet objęte mocnymi ramionami, cichły i przytulone, wdzięcznie patrzyły w oczy swoim wybawcom. Te przytulania często stawały się pretekstem, by korzystając z chwili zamętu i alkoholu szumiącego w głowie, zamknąć się w garderobie na małe sam na sam.

Józef, nie baczając na nikogo, docierał do najbliższego kąta i tam porzucał swojego niedawnego rozmówcę. Uważny obserwator mógł w tym momencie zauważyć jak z inspicjenta, niczym z dziurawego materaca, szybko uchodzi złość.

Stał teraz nad biedakiem, którego właśnie przed chwila tak sponiewierał, i przyglądał mu się z uwagą jakby nie do końca świadom całej sytuacji. Gdy odwracał się, szukając odpowiedzi wśród zgromadzonych, ci cofali się o krok, nie do końca pewni czy inspicjent już się uspokoił.

Nie dostrzegłszy na ich twarzach choćby odrobiny zrozumienia, ruszał przed siebie. Tłum szybko się rozsuwał, tworząc przejście. Inspicjent zły, a może już tylko zawstydzony, kierował kroki w kierunku swojej pakamery, przycupniętej tuż pod schodami.

Ludzie w milczeniu odprowadzali go wzrokiem aż do momentu kiedy zniknął za drzwiami. Przez chwilę było cicho po czym wszyscy znów się ożywiali, komentując głośno całe zdarzenie. W końcu do głosu dochodził dyrektor, który takie sceny zwykł oglądać z pewnej odległości.

Teraz, otoczony ludźmi, stawał pośrodku i pewnym głosem obiecywał, że on już zadba o to, aby, tego typu zdarzenia, więcej się nie powtórzyły. Mówiąc to, brał się pod boki, a następnie pięścią wygrażał w kierunku pomieszczenia inspicjenta.

Wśród pracowników można było wtedy dostrzec drwiące uśmiechy, bo każdy, kto choć trochę popracował w teatrze, wiedział, że obu łączyła szczególna więź sięgająca jeszcze czasów studenckich. Poza tym wszyscy zdawali sobie sprawę, że, za przeproszeniem, dupowaty dyrektor, potrzebował kogoś,

kto potrafiłby ogarnąć cały ten burdel.

Dziś jednak było spokojnie. Józef, świadom powagi chwili, pił powoli, rozpamiętując różne, raczej śmieszne, sytuacje ze swojej kariery. Należy tu podkreślić słowo „raczej”, ponieważ wspominał głównie, kiedy i komu urządził udaną defenestrację. Jak należy przypuszczać, nie wszyscy byli tymi opowiadaniem zachwyceni.

Czas mijał. Goście zaczęli powoli wychodzić. Józef, jak na gospodarza przystało, pozostał do końca. Siedział teraz obok suflera i próbował wlać w niego resztę wódki, znajdującą się w wielkiej, pękatej butelce. Systematycznie nalewał mu kolejne kieliszki, co było to o tyle dziwne, że kumpel już dawno powinien zwalić się pod stół. Nie uczynił tego, ponieważ Józef sprytnie dosunął jego krzesło do stołu, blokując w ten sposób możliwość jakiegokolwiek ucieczki. Dzięki temu drobnemu zabiegowi, niezbyt w tej chwili rozmowny sufler, dalej był w stanie dotrzymywać mu towarzystwa. Półprzytomny, oparty brzuchem o blat stołu, mamrotał coś pod nosem, parszcząc przy tym z odrazą na wódkę niczym stary kocur na nachalnego kundla.

Grymas obrzydzenia na jego twarzy wydał się inspicjentowi na tyle podejrzany, że cofnął się, by z pewnej odległości przyjrzeć się koledze. Zrobił to jednak tak gwałtownie, że z rozpędu znalazł się na środku pomieszczenia i tam musiał stoczyć walkę o utrzymanie równowagi. Gdy już jako tako zapanował nad swoim ciałem w jego głowie zrodziła się wątpliwość czy, aby drobne ciało suflera jest jeszcze w stanie pomieścić choć odrobinę alkoholu. By to sprawdzić, podszedł bliżej i uniósł jego rękę, która, gdy tylko ją puścił, natychmiast opadła bezwładnie. Zadumał się nad tym po czym spojrzał na stół, gdzie hen na przeciwnym jego krańcu stała karafka z wodą.

To było to, czego Józef potrzebował, by przywrócić kumpla do życia. Przez chwilę zastanawiał się nad tym w jaki sposób ma do niej dotrzeć. W końcu doszedł do wniosku, że podróż w tamtą stronę zajęłaby sporo czasu. Z szelmowskim uśmieszkiem rozejrzał się, więc za jakąś bratnią duszą i nagle dotarło do niego, że, oprócz nich, przy stole nie ma już nikogo.

Bardzo się tym zmartwił. Tak bardzo, że zapomniał o swoim druhu i ruszył szukać gości, którzy, jak sądził, gdzieś mu się zawieruszyli.

Brnąc w półmroku przez kulisy, co chwilę o coś zawadzał. W końcu, potknąwszy się o pozostawioną przez scenografów belę materiału, padł jak długi, tracąc na moment przytomność.

Gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą Marka, starającego się przywrócić go do życia. Chłopak dostrzegł, że inspicjent oprzytomniał i próbował go podnieść. Nie było to takie łatwe, ponieważ olbrzym ważył ze sto pięćdziesiąt kilogramów. W końcu, wspólnym wysiłkiem, udało mu się jakoś postawić go na nogi. Kiedy Józef wrócił do pionu, naszała go myśl czy, aby, i tym razem, znów coś nie narozrabiał. Nie mogąc jednak niczego sobie przypomnieć, zapytał o to Marka, który, akurat uchylając się przed jakimś fragmentem dekoracji, odrzekł jedynie, że nie było aż tak źle. Taka odpowiedź nie rozwiała jego wątpliwości. Niestety nie mógł już dalej o tym rozmyślać, bowiem właśnie dotarli do śliskich, marmurowych schodów, prowadzących stromo w dół.

Schodzenie było tym trudniejsze, że, dumny z natury Józef, nie oczekiwał żadnej pomocy i oganiał się od natrętnego smarkacza, który, akurat dziś, uparł się pomóc swemu mentorowi.

Niepewnie schodząc po stopniach, co rusz próbował trafić go pięścią, lecz Marek nie ustępował, i by zapobiec upadkowi, co chwilę podtrzymywał go z innej zagrożonej strony. Te szybkie manewry umożliwiały mu równocześnie unikanie kolejnych, niebezpiecznych ciosów.

Krok po kroku, zbliżali się do końca schodów, gdy nagle inspicjent stracił równowagę i z impetem

zjechał z kilku ostatnich stopni. To nagle zdarzenie nieco go ocuciło. Szybko wstał i masując obolałe pośladki, pewnie ruszył w kierunku szatniarza.

Na pytanie Józefa; czy dzwonił na policję, ten na moment się zamyślił po czym potwierdził, że i owszem, jak zwykle, ale tam, jak zwykle, pomyłono się, łącząc go z pogotowiem. A oni, jak zwykle, odpowiedzieli, że do pijanych nie przyjeżdżają. Mówiąc to, uśmiechnął się, mrużąc zawadiacko oko. Zadowolony Józef sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął pomięty banknot i obdarował nim uczynnego kolegę. Chłopak chciał zaprotestować, lecz ostatecznie machnął na to ręką. Józef odebrał kozuch i przez dłuższą chwilę próbował trafić dłonią w rękaw. Gdy w końcu się ubrał, ruszył w kierunku wyjścia. Szatniarz odprowadził go chytrym spojrzeniem i zanim włożył banknot do kieszeni z uśmiechem chuchnął nań na szczęście.

Marek widząc jak Stary męczy się z obrotowymi drzwiami, postanowił towarzyszyć mu dalej.

W końcu Józef wypadł na zewnątrz i zatrzymał się dopiero nad krawężnikiem. Tam stwierdziwszy, że jest mu za gorąco, ściągnął z siebie kozuch i rzucił na śnieg. W jednej chwili owiało go chłodne, świeże powietrze. Nabral je łapczywie w płuca po czym z wyraźną ulgą, odetchnął. Popatrzył w niebo i teraz, dopiero teraz, poczuł się nareszcie wolny.

Chwiejnym krokiem, ruszył w kierunku taksówki. Aby inspicjent nie wyrwał klamki, Marek ubiegł go i szybko otworzył drzwi. Wiedząc to, Józef na moment się zatrzymał. Ściskając mocno jego ramię, przyjrzał się chłopakowi z uwagą. Marek był niemal pewny, że inspicjent chce coś mu powiedzieć, lecz ten tylko się uśmiechnął i wszedł do samochodu. Już miał zająć miejsce obok niego, gdy przypomniał sobie o porzuconym płaszczu.

Kiedy Stary z hukiem zamknął za sobą drzwi, zaniepokojony kierowca zapytał dokąd ma jechać. Inspicjent zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie gdzie mieszka. Ponieważ dziś myśli były wyjątkowo odporne, zażądał jazdy przed siebie.

Ciepło panujące w samochodzie oraz miarowe bujanie spowodowało, że Józef, rozłożony na tylnym siedzeniu, powoli zaczął zasypiać. Nim odpłynął w krainę Morfeusza, stwierdził, że już dawno powinien rzucić to wszystko w jasną cholerę.

Zaskoczony Marek stał przez chwilę, patrząc jak taksówka niknie za zakrętem. Następnie sięgnął po wielki, stary kozuch i w tym momencie przyszła mu do głowy myśl, że oto właśnie przejmuję po Józefie jego schedę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bardzki, dodano 13.03.2011 20:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.